

Pięćset trzydziesty trzeci dzień pobytu w Belfaście. Otwieram oczy.

Poranek niejedną jest godziną i niejedną rozpaczą otuloną w pierzyne. O poranku jest się kokonem z żywego, słodkiego mięsa, a gdzieś w środku wiruje świeża krew.

Zapalam papierosa, zastanawiając się, co muszę dziś zrobić.

Ktoś kiedyś powiedział, że praca uszlachetnia...

Wstaję z łóżka z głupim uśmiechem na twarzy i, z jeszcze głępszym bałaganem w głowie, zaczynam wykonywać proste czynności, należące do porannej toalety. Mewy, błagalnym tenorem proszą, abym została z nimi dłużej.

Jest deszcz - mroczna kraina płaczu. Idę. Nie słyszę szumu drzew ani swoich kroków. Jestem zmęczonym, skacowanym aniołem, który stara się dotrzeć do pracy.

„Nie w krzyku jest metoda, lecz w ciszy”- tak pomyślałam, podając papier toaletowy prawie stuletniej June Robinson.

Moja praca polega na sprzątaniu pokoi i łazienek starszych osób w jednym z domów opieki w południowym Belfaście. Czynności należące do moich obowiązków wykonuję mechanicznie. Często krążę po przerażająco cichych korytarzach, oglądając tandetne obrazy na ścianach: zachody słońca w Prowansji, australijskie wybrzeża przed zmierzchem lub podróbki osiemnastowiecznych dzieł sztuki. Niejednokrotnie spotykam na swojej drodze, spacerujące z wózek, staruszki. Prawa część kierownicy wózka służy im jako wieszak na dyndającą się torebkę. Niektóre pokoje nie są zaopatrzone w łazienki. Mieszkanka czterech ścian, wyposażonych w szafę i łóżko, ma możliwość rozprostowania kości podczas przechadzki do toalety, znajdującej się na końcu korytarza. Napotykać mnie, wykrzywia usta w coś na kształt uśmiechu (ja mam swój wózek, ona ma swój) i pyta o pogodę oraz o to, czy ma równomiernie rozprowadzony puder na twarzy. Odchodząc, powtarza litanię: Room number 21, room number 21, room number 21.

Czasami wydaje mi się, że błędzę po korytarzach tak samo, jak spotykane przeze mnie staruszki. Korytarz, parę zakrętów, jadalnia, winda, pierwsze piętro, korytarz, zakręt. Swoją drogę odnajduję przy pokoju numer 29, gdzie mieszka Margaret O’Neil, posiadająca niezwykle przyciągający czar człowieczeństwa. Wysłuchuję kolejny raz bajki o wspaniałym domu na Lisburn Road i przepięknym ogrodzie. Spaceruję z nią wśród rozkwitłych kwiatów i delektuję się ich zapachem. Staję się Margaret O’Neil. Przez otwarte okno werandy wołam na obiad dzieci bawiące się w ogrodzie. Radosna trójka wygłodniałych maluchów szybko reaguje na mój głos i po chwili w domu robi się gwarnie. Czas, który spędzam z dziećmi, nazywam w duszy szczęściem. Kiedy to było? Odpowiedź na to pytanie sprawia mi największy kłopot. Zdaje się, że jakieś sześćdziesiąt lat temu, kiedy nie miałam powykrzywianych palców u rąk, siwych włosów i drżącego głosu. Teraz jednak chciałabym zanucić (nie dzieciom, lecz sobie) kołysankę i zasnąć.

Patrzę na zegar wiszący na ścianie. Jeszcze czterdzieści minut i będę mogła zrzucić z siebie zielony fartuch, opieczętowany napisem „Staff”. Skoncentrowanym ruchem zamknę drzwi, za którymi starość i śmierć toczą ze sobą nieustanny bój. Pójdę w stronę mroku, sklejjąc myśli w kroplę pluchy. Jak pozostawiony na dywanie włos... grzmot, bursztyn i spełnienie, znów stanę się wielką stratą.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z

dnia 4 lutego 1994r.).

Adela, dodano 01.02.2011 08:18

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.